



Autorka u wrót krainy pozytywek i zabawek

bardziej, jeśli przed dalszą podróżą odpoczniemy przez chwilę w niesamowitym nastrojowym wnętrzu starej kawiarenki rozświetlonej bladymi płomykami setek lamp naftowych. Zapach karmelu, śmietankowego kremu, kawy i gorącej czekolady, sękaty stół z pni starych drzew... – odrobina luksusu. Jeśli nie lubimy czekolady,

Dania w witrynach kawiarni i restauracji to perfekcyjnie wykonane atrapy



w przydrożnym kramie kupujemy winogrona i melony, pieczone ziemniaki, kalmary lub smażone rybki na patyku. *Sushi? Chirashi? Tempura?*³⁾ Proszę bardzo – tyle wokół kolorowych witryn ze smaczkowicie wyglądającymi potrawami. Ale uwaga!

³⁾ *Sushi* i *chirashi zushi* – popularne dania z surowych ryb i ryżu; *tempura* – warzywa i owoce morza smażone w panierce na głębokim tłuszczu (przyp. red.).

Dania na wystawach to tylko atrapy. Trudno uwierzyć, zwłaszcza że wyglądają, jakby je dopiero co przyrządzono.

Gdy już zaspokoimy głód, a w kieszeni zostało jeszcze trochę grosza, warto wybrać się na przejażdżkę staromodną rykszą. Wprawdzie prowadzi ją niewysoki, czerstwy staruszek, ale spokojnie – ten pan ma więcej krzepy niż niejeden z Was, szanowni turyści.



Droga ta przejażdżka, prawda? Oj, to może pozwolimy sobie chociaż na małe zdjęcie z rykszarzem i jego pojazdem. Cyk! A teraz biegiem do pociągu. Przecież przed zachodem słońca musimy jeszcze dotrzeć do Sapporo, gdzie ze szczytu góry Moiwa będziemy podziwiać niesamowitą panoramę miasta. ■

Niepotrzebne skarby

Yasuo Hori

tłum. i red. Martyna Taniguchi

Mieszkają na strychach, w piwnicach, przepaścistych paszczach szaf, pod pokrywami drewnianych skrzynek, na dnie kartonowych pudeł i koszy z bibelotami. Od dawna nieużywane, choć wiele z nich ciągle jeszcze spełnia swoje funkcje. Ich przeznaczenie jest różne, ale łączy je jedno – zapomnienie.

Są: za duże, za małe, przestarzałe lub zbyt awangardowe... Z jednych już wyrosliśmy, na inne jeszcze nie czas... Niepotrzebne rzeczy – co z nimi począć?

Wczoraj w moim okręgu był dzień, w którym mieszkańcy wystawiają przed domy wszystko, co nie jest im już potrzebne: stare meble, rowery, urządzenia elektryczne... Był to więc „dzień niepotrzebnych rzeczy”. Zawsze bardzo na niego czekam – nie dlatego, żebym chciał cokolwiek wyrzucać, ale dlatego, że wtedy właśnie zamieniam się w „poszukiwacza skarbów”.

Wczoraj udało mi się znaleźć pięć rowerów górskich. Były już nienowe, ale całkiem sprawne, gdyż ich poprzedni właściciele (uczniowie szkół podstawowych



Smutny pluszowy miś na próżno czeka na swojego pana, wspominając dobre dni.

i średnich), jeździli na nich rzadko – głównie wokół domów. Gdy rowery stały się za małe, rodzice kupili im nowe, a stare pozostały pewnie jeszcze jakiś czas w przydomowych składkach, by wreszcie skończyć swoją karierę wśród wystawianych przed dom rupieci. Ponieważ zawsze byłem zapalonym rowerzystą, od razu poczułem, że

muszę się zaopiekować tymi porzuconymi rowerami. Poza tym, zawsze kiedy wyjeżdżam za granicę, biorę ze sobą rower, który przy zwiedzaniu miast służy mi jako środek transportu. Pod koniec pobytu oddaję rower jednemu z „tubylców”. W podobny sposób wykorzystuję wiele „niepotrzebnych skarbów”. Razem z rowerami znalazłem dwie przyzwoite walizki. Były duże i należały prawdopodobnie do pary starsuszków, którzy nie mieli już sił wyprawiać się z nimi w podróż.

Buszując w stertach gratów w poszukiwaniu „skarbów”, usłyszałem rozmowę w obcym języku. Trzech Brazylijczyków przekopywało góry niepotrzebnych rzeczy, szukając czegoś, co da się naprawić i sprzedać. Nieopodal stała niewielka ciężarówka do przewożenia „cennego ładunku”. Wśródgórek rupieci kręcili się także Japończycy. Oni jednak wybierali tylko to czy owo z wierzchu.

Japońskie śmiecie dla wielu ludzi śmieciami nie są. Po niewielkich reperacjach, z powodzeniem mogą być jeszcze wykorzystane. Ja sam w ostatnich latach zebrałem sporo „śmieci”, które służą mi do dziś. Są to przede wszystkim takie urządzenia, jak: elektryczny garnek, radio, termowentylator itp.

Kilka lat temu w popularnym czasopiśmie *Mainichi* ukazał się raport z portu Shimizu (w guberni Shizuoka), gdzie sterty rupieci szybko znikają za sprawą filipińskich marynarzy, którzy transportowali wyrzucone przez Japończyków „skarby” na pokład swoich jednostek. Jeden z Filipińczyków, zapytany, czym są dla niego japońskie składowiska śmieci, odpowiedział: *To miejsca, gdzie zawsze można znaleźć wiele cennych przedmiotów, bardzo lubię tam przychodzić*. Potem z kolei on zapytał pracownika gazety: *Dlaczego Japończycy wyrzucają tyle użytecznych rzeczy?* Dziennikarz nie potrafił odpowiedzieć.

Już od 30 lat w japońskim społeczeństwie panuje „moda”, aby „kupić i wyrzucić”. Sprzedawcy zawsze zachęcają nas do nabywania coraz to większej ilości

nowych, wspaniałych produktów. Staruszkowie pamiętający jeszcze dawne chude lata są zdecydowanymi przeciwnikami tej tendencji. Niestety, młodsze pokolenie nie ma takich oporów, tym bardziej, że w obecnej sytuacji ekonomicznej często paradoksalnie łatwiej i taniej jest kupić nowy sprzęt, niż bawić się w na-
prawianie starszego. Takie konsumpcyjne podejście młodszej części japońskiego społeczeństwa bardzo mnie martwi. Boję się, dokąd nas to zaprowadzi... ■

Japońskie kafejki internetowe*

Cleve Lendon

tlum. Martyna Taniguchi

Kafejki internetowe istnieją już prawdopodobnie we wszystkich rozwiniętych państwach świata. Oprócz japońskich, miałem okazję odwiedzać kanadyjskie, irlandzkie i amerykańskie. Na podstawie tego, co widziałem, mogę stwierdzić, że te japońskie są najciekawsze.

W Kanadzie w typowej kawiarni internetowej podaje się przekąski i napoje, a sprzęt stanowi zwykle ok. 20 komputerów nie najnowszej generacji. Japońskie *netto kissa* są o wiele większe, bardziej luksusowe i o wiele popularniejsze. Te tokijskie, do których zaglądam, wyposażone są zawsze w ok. 100 nowych komputerów! Z cenami na poziomie 400–500 jenów za godzinę mogą z powodzeniem konkurować z kafejkami kanadyjskimi. Wprawdzie w Kanadzie ceny są porównywalne, ale w Japonii klientom przysługują darmowe napoje.

Inna ważna różnica – w japońskich kawiarniach można uzyskać szybsze i lepsze połączenie z internetem (więcej komputerów, zwykle więcej niż jeden serwer, bardzo szybkie, nowoczesne łącza). Ponadto w każdej *netto kissa* stoją półki ciasno zastawione komiksami. Znudził Ci się czat? Wolisz poczytać mangę? Proszę bardzo. Często też komputer, którego używasz, może służyć również jako telewizor. Jeśli nie masz ochoty na surfowanie po sieci, możesz wypożyczyć DVD i obejrzeć sobie jakiś film.

Kiedy idę do kafejki internetowej, zawsze zabieram ze sobą discmana i płyty z ulubioną muzyką. To dla mnie artykuły pierwszej potrzeby z dwóch powodów. Po pierwsze, w niektórych *netto kissa* puszcza się jazz w nie najlepszym gatunku, a tego po prostu nie znoszę. Po wtóre, czasami zdarza się, że jakiś wyjątkowo zmęczony gość przy sąsiednim stanowisku zaczyna głośno chrapać. Tokijskie kawiarnie inter-

* Powyższy artykuł ukazał się w piśmie „La Revue Orienta” nr 3/2005. Przedruk za zgodą redakcji.

netowe nie zniechęcają śpiochów. Przeciwnie, stwarzają im jak najlepsze warunki do wypoczynku, albowiem nawet śpiący klient pozostaje zawsze klientem (wszak płaci tak czy inaczej). Zasadniczo *netto kissa* są otwarte przez całą dobę i oferują specjalne zniżki dla tych, którzy zamierzają zostać kilka lub kilkanaście godzin. Wiele dysponuje bardzo wygodnymi, rozkładanymi fotelami, na których niesłychanie łatwo się zasypia. Na miejscu można też zaopatrzyć się w maseczkę na oczy. Co więcej, znam nawet kawiarnie, w których można wziąć prysznic!

Pewien mój przyjaciel, którego przez przypadek spotkałem w jednej z kafejek internetowych, zapytał mnie, czemu odwiedzam *netto kissa*, jeśli mam dobry komputer i szybkie łącze w domu? Odpowiedziałem, że czasem mimo wszystko warto wyjść z mieszkania. Przy tym, gdybym poszedł do zwykłej kawiarni, musiałbym kupić przynajmniej coś do picia. Koszt pobytu w kafejce internetowej (jeśli jesteśmy w niej niedługo), wynosi niewiele więcej niż cena filiżanki kawy. Dla mnie pobyt w *netto kissa* to całkiem miły sposób na spędzenie wolnego czasu. ■

Przylądek wiatru i mgły

Martyna Taniguchi

Notatki z prywatnych podróży, migawki z przeszłości, sądy i uczucia na tyle prawdziwe, na ile może pozwolić krótkowzroczność chwili. Czy i Wam nie dokucza czasem ta ułomność oka, ducha i umysłu...?

Pędzimy na spotkanie z bratem męża, do Wakkanai – stolicy przylądka Soya. Ten maleńki cypelek to najdalej wysunięty na północ kawałek Japonii. Oczywiście, określenie „pędzimy” można by uznać za nieco nieścisłe, albowiem mój teść – uosobienie spokoju, a pasjami i ascetyzmu – nigdy nie przekracza zawrotnej prędkości 80 km/h. Mimo to ciągle jestem świadkiem fenomenu opisanego już wcześniej przez Aleksandrę – nawet na autostradach nie pierwszej już młodości auto jakoś nie zawadza innym kierowcom. Nikt nie daje nerwowych znaków światłami, nie pokazuje starszemu panu obraźliwych gestów. Nie słychać rzucanych przez uchylone okno porad w stylu: *Eeej, ociec, ciągnik se kupcie!* Samochód jest niemiłosiernie wyładowany wszystkim, o czym w podróży troskliwa żona i matka – moja teściowa – nigdy nie powinna zapominać, więc przede wszystkim jedzeniem. Zastanawiam się, jakim cudem rodzice męża są tacy szczupli, zwłaszcza znając skryte upodobania teścia do pysznych słodczy, które w Japonii serwuje się pod najprzeróżniejszymi postaciami.



Wszystkie zdjęcia z archiwum autorki

Małe mieszkanko na dalekim przylądku – zwyczajni japońscy rodzice, ich syn – pastor – i dwie egzotyczne synowe. Na stoliku w kubeczkach żenśzeniowa herbatka. Już na samą myśl o niej człowiekowi „robi się lepiej”.

Jedziemy na północ. Szosa wije się nad malachitowym morzem, mknie tunelami, zakręca nad przepaścistymi paszczami wąwozów. Nogi lepią się do tandetnych sandałów – gorąco – ale podobno już niedługo będzie dużo chłodniej. Po jakimś czasie wpadamy w usta długiego, kilkunastokilometrowego tunelu wydrążonego w brzuchu wielkiej góry. Kiedy światło dnia znów pada na przednią szybę, krajobraz zmienia się diametralnie. Jestem w innym świecie. Nieoczekiwanie robi się ciemno i pochmurno. Wiatr tłucze o szyby jak w filmach grozy. Szosą pełnieje mgła. Otula samochód cienkimi, mlecznymi pasmami. Gdy odpływa, na zboczach gór pojawiają się dzikie irysy. W przydrożnych ogródkach kwitną bzy... Dalibóg, jest koniec czerwca! Dopiero się zdziwię, kiedy nazajutrz zobaczę wiosenne prymule.

Wakkanai to całkiem spore miasto. Jest tu kilka domów towarowych i nawet małe lotnisko. Na sklepach tablice z rosyjskimi napisami. Podobno sporo tu rosyjskich turystów, a mieszkańcy miasta prowadzą z Rosją dość ożywiony handel – przede wszystkim chodzi o kraby...

Brat męża i jego koreańska żona mieszkają w starym zimnym galeriowcu. Zarabiają niewiele. Rodzice wiozą im w podarunku odkurzacz i łakocie. Choć widziałam już sympatyczną parę na zdjęciach, spotkanie „na żywo” zawsze budzi wiele emocji. Hyun Hee okazuje się dużo piękniejsza niż na fotografiach, delikatna jak wiosenna roślina... Yoshikazu to miły misiowaty pastor, który bynajmniej nie rzuca się na nas z krzyżem w jednej ręce i kropidłem w drugiej. Oboje bardzo się starają podjąć nas jak najlepiej. Zamawiają wspaniałą kolację. Na stole pojawiają się więc *sushi*, krab ogromny jak młoda dynia, wielkie łapy tłustej ośmiornicy, które samemu można sobie upichcić w malutkich przenośnych piecykach, melon wielkości dorodnego arbuza, ryż, kilka gatunków małży i jeżowce. Hyun

Hee całkiem nieźle podobno porozumiewa się już po japońsku. Yoshikazu śmieje się z jej powiedzonek i mówi, że ma teraz takie duże dziecko w domu, pyta, czy ja też? Bratowa pokazuje zdjęcia z ich ślubu. Widać, że są bardzo dobrą parą. Mąż szepcze mi do ucha, że brat jest teraz o wiele pogodniejszy niż cztery lata temu, kiedy się ostatni raz widzieli...

Zawsze zastanawiam się nad prostym fenomenem tych japońskich powitań po latach. Nie przypominają one z goła naszych wylewnych obłapianek okraszonych łzami i pocałunkami. Owszem, oni cieszą się i śmieją jak my, ale nie ściskają się, nie przytulają, nie podają sobie rąk. Zwykle wystarczy głęboki ukłon, cień wzruszenia na twarzy. Kiedy myślę o tych cichych przyjaznych powitaniach, przypominają mi się opowieści Aleksandry o tym, jak zareagował jej mąż Japończyk, kiedy po raz pierwszy cała plejada polskich kolegów pospieszyła, by go wycelować i wyściskać, oraz mała lotniskowa scena z udziałem moich teściów, gdy przyjechali do Polski na nasz ślub. Wiedząc już co nieco o japońskich zwyczajach, błagałam moją matkę, aby nie rzuciła się gościom na szyję. Zgadnijcie Państwo, co zrobiła, kiedy tylko zobaczyła rodziców mojego narzeczonego...? Tak, przywitała się z nimi „na misia”.

Wróćmy jednak na Soya Misaki, zwłaszcza że większość turystów raczej tam nie zagląda. Na dworze wieje wiatr-urwijlepek. Podobno w lecie temperatura nigdy nie przekracza tu 20° C. Hyun Hee panicznie boi się zimy. Pochodzi z bardzo ciepłych stron. Już teraz marznie, a co będzie potem?

Wymieniamy podarki. Dostaję eleganckie perfumy i przepiękny słoiczek, zawierający dość paskudny żeńszeniowy proszek (już na dzień dobry zostaliśmy nim uraczeni), który należy rozpuścić w wodzie i pić jak ziółko. Ów wielce niesmaczny dekolt (polecam zwłaszcza miłośnikom żywności „ekologicznej”) podobno czyni cuda. Przywraca siły, młodość, zdrowie i urodę. Zwalcza też raka... Mały lyczek... Brrrrch... Mam nadzieję na nic nigdy nie chorować!

Następnego dnia wyruszamy na sam skraj przylądka. Wiatr jest coraz silniejszy – stoków gór trzymają się rozpaczliwie przygięte do ziemi, oblepione porostami pnie kosodrzewiny. Niesiona wichrem morska sól wżera się w drzewa, mumifikując je za życia – gałąź po gałęzi. Od strony morza bije oghuszający ryk fal i niewyraźne krzyki wielkich mew, których stada unoszą się na wodzie przy brzegu. W ogródkach mijanych domów kwitną dzikie jabłonie. Mam dziwne wrażenie cofającego się czasu. Morze jest zimne, lśni jak cienka pognieciona folia, w którą pakuje się czekoladki. Morskie ptaki skaczą po kamienistych plażach. Wybierają wyrzucone przez rybaków resztki małży i krabów. Zimno i wietrznie, ale świeci słońce. Yoshikazu żartuje, że to chyba specjalnie na nasz przyjazd. Wydaje mi się, że mówi po japońsku wyraźniej niż moja druga połowa, ale bratowa żali się, że kiedy mąż prowadzi mszę, ona nic nie rozumie. Hyun Hee uczy się z książek i słownika – sama, bo w Wakkanai nie ma kursów japońskiego. Poza tym i tak jest jej niełatwo. Tyle pracy... Jako żona pastora musi być wszędzie – sprzątać, doglądać, organizować, działać, a przede wszystkim

codziennie być na nogach już o wpół do czwartej rano. Obydwoje budzą się o tej porze, żeby zrozumieć najdalej mieszkających wiernych, którzy wstają w nocy, by dotrzeć do Wakkanai na poranną modlitwę.

Prawdę mówiąc, niewiele rozmawiamy o religii. Tolerancja to bardzo trudne słowo, tym trudniejsze, że dwaj bracia, którzy, wesoło gawędząc, stoją teraz obok mnie na nieurodzajnej ziemi wietrznego przylądka, otwierają co rano różne modlitewniki, a kiedy chwalą swoich bogów wszechrzeczy, z ich ust padają inne imiona. Wprawdzie religia mojego męża uczy, że Bóg ma wiele twarzy, lecz każdy z nas wszak jest małuczki. Dlatego wciąż powstają nowe kościoły, a kolejne pokolenia próbują na nowo odkrywać sens ukryty w pradawnych księgach.

Na cyplu stoi pomnik słynnego samuraja. Wielki podróżnik Mamiya Rinzo jako pierwszy sporządził mapy okolicznych wybrzeży. Dalej dwa dzwony – wielki i mały. Oba odlano z monet zebranych na całym świecie. Głos dużego to modlitwa o pokój, mały prosi o szczęście dla wszystkich dzieci. Jest też słup – niby nic wielkiego, ale także wołanie o pokój – po japońsku, angielsku, koreańsku i... po rosyjsku. *Да будет мир человечества во всем мире**. Obok wznosi się pomnik. Pewnego dnia koreański samolot pasażerski zboczył nieco z kursu i dostał się na moment na terytorium powietrzne ZSRR. Podobno to dowódca bazy wojskowej nie wiedzieć czemu uznał go za jednostkę wroga. Nie namyślał się długo. Znał procedurę. A może nie tak to było, może zawinił ktoś inny... Nieważne. Nikt z pasażerów nie przeżył. *Да будет мир....* Dotykam ręką napisu. Proste litery – myślę, że takie rzeczy najlepiej pojmować bez udziału rozumu i tego we-



Mamiya Rinzo – to za jego sprawą powstały pierwsze mapy odległych wybrzeży Japonii.

Człowiek człowiekowi... człowiekiem.



* Pokój ludzkości na całym świecie (przyp. autorki).

wewnętrznego tłumacza, który zwykle przekłada nam obce słowa na język naszej podświadomości. *Pokój ludzkości...* Nie wiem, czy w tej chwili uśmiechacie się smutno, czy raczej ironicznie, a może nie uśmiechacie się wcale. Ale poczekajcie, przecież nie wiemy, kto go tu postawił, ten głupi słup z wołaniem o pokój w czterech językach, i czy nie zrobił tego z najszczerzyszymi intencjami? Oczywiście, nie urodziłam się wczoraj, wiem, wiem – człowiek człowiekowi... człowiekiem. Mimo to nawet teraz, kiedy piszę... oczy szklą mi się... od wiatru, tak, na pewno od tego potwornego wiatru, który wtedy wtłaczał nam z powrotem do ust nasze oddechy i zamieniał włosy na głowach w gigantyczne kołtuny.

Wracamy, fale biją o skały przylądka. Na brzegach piętrzą się stosy boi rybackich – żółte, czerwone, pomarańczowe... W południowym słońcu wyglądają jak góry dojrzałych dyni i melonów. Pod krystalicznie czystą powierzchnią wody widać kolorowe dywany wodorostów. A morze, jak wszystkie inne morza w tym rejonie świata, jest zimne, słone i pełne ptasich krzyków. Tak blisko stąd do Rosji...

Po drodze zatrzymujemy się na moment przed olbrzymim wiatrakiem, pod którym na czystej, zielonej łączce pasą się swojskie krasule. Tuż obok jest zajazd, a na parkingu dwa autokary. Wycieczki? Tak, okazuje się, że zwłaszcza dla starszych mieszkańców Japonii świeże mleko prosto od krowy i smażona wołowina to potrawy nie mniej egzotyczne niż dla nas... no, dajmy na to, sałatka z ośmiornicy. Oczywiście w japońskich sklepach nie brakuje nabiału, a jogurty z Hokkaido należą do najsmaczniejszych, jakich udało mi się spróbować, jednak krowa i mleko

To nie Holandia, to Japonia.



to, biorąc pod uwagę prastarą historię Japonii, „wynalazki” stosunkowo niedawne. Na szczęście moja japońska rodzina zdaje sobie sprawę, że dla mnie wołowe frykasy nie są specjalną atrakcją, zatem na pożegnalny obiad idziemy do restauracji serwującej kraby. Jako gość honorowy dostaję najlepsze danie – tempurę i gotowane krabowe nóżki... Obok talerza, zawinięte w serwetkę, leżą jakieś szczypczyki i kleszcze do przecinania skorupy oraz długa łyżeczka-skrabak do wyciągania mięsa. Jak się posługiwać takimi sztućcami? Nie mam pojęcia. Siedzę przy stole jak małe dziecko. Mąż karmi mnie troskliwie krabem. Szwagier przygląda nam się z dobrodusznym uśmiechem. Pyta, czy jestem szczęśliwa, taka szczęśliwa jak on...?

Na odjezdnym długo się sobie kłaniamy, a potem Hyun Hee i Yoshikazu na zachodnią

modłę ściskają mi ręce. – Trzymajcie się! Dbajcie o siebie! – krzyczą rodzice, ale pastor i jego żona już ich nie słyszą – zostali daleko na szosie przy małej wynajętej furgonetcie, machają wysoko wyciągniętymi w górę ramionami. Za ich plecami wielką pomarańczą zachodzi słońce. ■

Zniewoleni Koreańczycy, porwani Japończycy

Yasuo Hori

thum. i red. Aleksandra Watanuki

Był rok 1983, wyjątkowo słoneczne lato. Dwudziestotrzyletnia Keiko Arimoto z radością przemierzała nieznane jej ulice Kopenhagi. Przyjechała tu na kilka dni w czasie przerwy w zajęciach na uniwersytecie w Anglii, potem planowała odwiedzić też rodziców w Japonii. Oj, będzie co opowiadać! – myślała. O tej porze przedmieścia były puste i ciche. Keiko przystanęła przed wystawą sklepową, może w ostatniej chwili dokupi jeszcze jakiś prezent? Nagle z piskiem opon tuż obok niej zahamował samochód. Keiko ze zdumieniem patrzyła na dwóch Azjatów, którzy wyskoczyli z samochodu. Jeden sus i byli już przy niej, złapali ją za ręce i pociągnęli do auta. „Panowie, co wy robicie?!” – krzyknęła dziewczyna, ale już zamknęły się drzwiczki i samochód ruszył w nieznane...

Keiko Arimoto została przetransportowana do Korei Północnej, gdzie zmuszono ją do pracy dla tego państwa. W pięć lat później zmarła w tajemniczych okolicznościach. Nigdy już nie zobaczyła rodzinnej Japonii.

Trzynastoletnia Megumi bawiła się na plaży z przyjaciółmi. Oddaliła się od nich spory kawałek, kiedy z przycumowanej do brzegu łodzi wysiadł młody mężczyzna. Patrzyła, jak podchodzi do niej, uśmiechając się, gdy nagle wyszarpnął zza pleców płócienny worek i narzucił jej na głowę. Potem poczuła mocne uderzenie... Ocknęła się na statku płynącym w kierunku Korei Północnej. Ona również miała już nigdy nie zobaczyć Japonii, zmarła w 1993 r., także w sposób bardzo podejrzany.

Takich incydentów jak powyższe było kilkadziesiąt (w większości na terytorium Japonii). Za każdym razem Japończycy, Japonki, a nierzadko i pary wywożeni byli siłą do Korei, gdzie po odbyciu przymusowego szkolenia ideologicznego w specjalnym obozie, zmuszano ich np. do prowadzenia lekcji języka japońskiego dla szpiegów koreańskich. Wielu z nich zmarło po kilku lub kilkunastu latach w wy-